ŁOWIECTWO W „KRONICE“ GALLUSA (1112—1113 r.).

Łowiectwo było ulubioną „rycerską zabawą“ naszych pierwszych królów. Wielkie łowy — od czasu Bolesława Chrobrego — stały się przywilejem panujących.

Myśliwski żywot pędzili królowie, książęta, kasztelanowie i rycerze — od dziecka. „Jest zwyczajem chłopców szlachetnego rodu — pisze Gallus — zabawiać się psami i ptakami“ [1]). Widzimy stąd, iż od najdawniejszych czasów historycznych spotykamy w Polsce sokolnictwo.

Króla otacza cały orszak dostojników łowieckich i służby myśliwskiej. Bolesław Chrobry „miał ptaszników i łowców wszystkich niemal ludów, którzy, każdy na swój sposób, chwytali wszelkie rodzaje ptactwa i zwierzyny; z tych zaś czworonogów, jak i ptactwa, codziennie przynoszono do jego stołów pełne misy każdego gatunku“ [2]).

Zapalonym i nieustraszonym myśliwcem był od dziecka Bolesław Krzywosty. W zmaganiach łowieckich z odyńcami i niedźwiedziami Bolesław zaprawiał się do bojów i walk.

„Pewnego razu — pisze o nim Gallus — dziecię Marsa (Bolesław) siedząc w lesie przy śniadaniu ujrzało ogromnego dzika, który przeszedł i skrył się w gęstwinie leśnej. Bolesław natychmiast zerwał się od stołu, pochwycił oręż myśliwski, popędził za dzikiem i rzucił się nań zuchwale bez towarzysza, bez psa. A gdy zbliżył się do leśnego zwierza i cios chciał wymierzyć w szyję, nadbiegł pewien rycerz, który cios powstrzymał i broń chciał odebrać. Wtedy Bolesław gniewem uniesiony i męstwem — zwycięsko stoczył w cudowny sposób podwójną walkę, bowiem i rycerzowi broń wyrwał i dzika zabił“ [1]).



Krośniewice: P. Nadleśny z młodemi dziczkami, wychowańcami swemi.

„Nie zamilczę też o innym jego dziecięcym czynie — mówi dalej kronikarz. — Tenże chłopiec z kilku towarzyszami przechadzając się po lesie zatrzymał się na wzniesionem miejscu i patrząc w dół zobaczył, jak olbrzymi niedźwiedź igrał z niedźwiedzicą. Ujrzawszy to (Bolesław) kazał się innym zatrzymać natychmiast, sam zaś zeszedł na równinę i dosiadłszy konia bez trwogi zbliżył się ku krwiożerczej bestji: niedźwiedzia z wyciągniętemi łapami zwróconego przeciw niemu przebił oszczepem myśliwskim. Czyn ten wprawił obecnych w wielkie zdumienie“... [2])

[1]) Gall. II. 9. [2]) Gall. I. 14.

[1]) Gal. II. 11. [2]) Gall. II. 12

W epoce owej — jak widzimy — myślistwo było dla młodzieży szkołą wojenną, szkołą hartu i odwagi, szybkiej decyzji i siły. Było tą „smaczną pracą", o której później słusznie mówił Ostroróg, iż „sama jedna jest, co czasu pokoju zachowywa rycerskiego człowieka w sposobności do wojny".

„Kronika" Gallusa-Anonima pełną jest porównań łowieckich. Widać, że pierwsi nasi królowie zżyci byli z myślistwem, stanowiącym obok wojennych wypraw rdzeń ich żywota. Widać, że łowy były najulubieńszą zabawą pierwszych Piastów, skoro każde ich przemówienie, każde niemal słowo, z dziedziny łowiectwa czerpie swe natchnienie...

„Gdy doniesiono królowi ruskiemu, że Bolesław (Chrobry) przeszedł już na drugi brzeg rzeki i wraz ze swojem wojskiem zatrzymał się na pograniczu jego królestwa, wtedy król nierozsądny, przypuszczając, że go osaczył swemi masami wojska, jak zwierza w sieci, przesłał mu słowa pełne wielkiej pychy, które miały się obrócić przeciw jego własnej głowie:

— Niechaj wie Bolesław, że, jako dziki wieprz w kałuży, otoczony został przez psy moje i łowców.

A na to król polski odpowiedział:

— Dobrze, owszem, nazwałeś mię wieprzem w kałuży, ponieważ we krwi łowców i psów twoich, to jest książąt i rycerzy, ubroczę kopyta moich koni, a ziemię twą i miasta spaszę, jak dzik... [1])

[1]) Gall. I. 10.

Bolesław Śmiały mówił do Czechów: „Przedtem, jak wilki zgłodniałe porwawszy zdobycz zwykliście bezkarnie w nieobecności pasterza chować się do kryjówek leśnych, teraz zaś, gdy myśliwy obecny jest z oszczepem i psami rozpuszczonemi na tropie, macie sposobność nie ucieczką lub podstępami, lecz dzielnością ujść rozpiętych sieci"... [1])

Bolesław Krzywousty „trzema osaczony wojskami zastanawia się nad tem, których ma najpierw oczekiwać, na których zaś napaść: jako lew albo dzik, osaczony przez psy moloskie, ujadaniem psów i trąbami łowców rozjuszony"... [2])

Namiętność łowiecka, która opanowała królów naszych i książąt w zaraniu dziejów, złotą przędzą otacza każde ich słowo i każdy czyn.

Na łowach zaprawiają się do wojny, z łowów czerpią porównania w przemówieniach swoich, łowiecka drużyna otacza ich w czasie zabaw, łowiectwo jest ich roskoszą i radością umiłowaną. Stary las, święty za czasów pogańskich, pełen jeszcze zwierza i tajemnic nęci ich i urzeka swoim przemożnym czarem... Ostępy z których mnisi surowi przegnali wiły i rusałki pełne są jeszcze duchów myśliwskich... A duchy te wołają królewskich łowców w knieje, gdzie przebywa mnogi żubr i tur, niedźwiedź i odyniec — w tajemniczych matecznikach dziewiczej puszczy polskiej.

Juljan Ejsmond.

[1]) Gall. I. 24. [2]) Gall. II. 37.



PRZED POLOWANIEM NA KUROPATWY.

Z polowań na drobną zwierzynę, wielkiem urozmaiceniem cieszy się polowanie na kuropatwy,— dlatego też myśliwi rozpoczęcia tegoż oczekują z niekłamaną niecierpliwością.

Chcąc jednak mieć z polowania na kuropatwy pewien pożytek i prawdziwą przyjemność myśliwską, trzeba przedewszystkiem zanim rozpoczniemy polowanie, mieć dokładną wiadomość, jak silne są stadka kuropatw, w jakim stanie rozwoju są młódki, w jakich miejscach żerują i gdzie mają swoją ostoję. Bez tych danych rozpoczynając, myśliwy nieraz błądzi po polu całemi godzinami, zanim jakieś stadko odnajdzie. Obserwując stadka w czasie żerowania na ścierniskach, należy stwierdzić nietylko ilość ich, lecz przedewszystkiem, stan ich wzrostu, przyczem przekonamy się, że każde stadko

regularnie na jednem i tem samem obszarze ziemi lub w jego najbliższej okolicy każdorazowo znajdziemy, co nam oszczędzi z nadejściem czasu polowania zbytecznych trudów w poszukiwaniu.

Dwutygodniowy czas obserwacji wystarczy na to najzupełniej, o ile czynimy to w godzinach porannych i wieczornych, ponieważ w tej porze zazwyczaj kuropatwy nie są tak skryte i zachowują się mniej ostrożnie, zwołując się gdy przelatują na żer lub po zaspokojeniu głodu szukają schronienia. Podsłuchy takie są nawet poniekąd konieczne, a zwłaszcza w takich rewirach gdzie stan kuropatw jest stosunkowo słaby, aby się przekonać o ich stanie i ewentualnym odstrzale.

po- południu w koniczynie, na łące lub w ściernisku.

Strzelając należy dobrze uważać na pole obstrzału, nieraz bowiem nieprawdopodobnie daleko sięga śrót i sprowadza nieszczęście, zwłaszcza w terenie pagórkowatym. Polując we dwójkę należy ustalić że np. w zrywające się stadko jeden strzela w prawą drugi w lewą stronę. Dnie słotne i wietrzne są niepomyślne do polowania na kuropatwy a w dnie zimne kuropatwy nie dotrzymują. Najpomyślniejszym jest dzień ciepły z lekkiem podmuchem wiatru. Zbytecznem jest nadmieniać, iż bez odpowiednio ułożonego psa, żaden szanujący się myśliwy na kuropatwy nie powinien



Krośniewice: Godzina obiadowa.

Ponieważ polowanie na kuropatwy przypada w porze dosyć gorącej, nastręczającej wiele trudów, więc do tych polowań powinien się myśliwy odpowiednio przygotować, a w czasie polowania do przyjętych praktycznych wskazówek się zastosować. Przed polowaniem należy dobrze wypocząć, nie używać alkoholu, noc poprzednią wcześnie udać się na spoczynek, aby rzeczywiście z polowania mieć jakieś zadowolenie. Jako najodpowiedniejszą porę do polowania zaleca wielu myśliwych czas od godz. 8 do 11 i od godz. 2-giej do 5-tej, w południowym upale, mimo że w polu rolnicy nie pracują i panuje spokój, chodzenie za kuropatwami męczy i nie sprawia żadnej przyjemności. Przed południem spotyka się przeważnie kury w ziemniakach,

się wybierać; wówczas mamy pełne zadowolenie z polowania, gdy nam żadna kura postrzelona nie zaginie. Nie zawadzi również zabrać ze sobą szkła polowe, ponieważ kury w dzisiejszych czasach bywają wyemancypowane i zapadają tak daleko że je trudno gołem okiem dojrzeć.

Ogólny stan kuropatw w naszym kraju dopomina się od racjonalnych myśliwych, aby polowanie na kuropatwy ograniczono przynajmniej do dwóch miesięcy a mianowicie na wrzesień i październik, jako właściwą porę strzelania tych ptaków. Z chwilą spadnięcia śniegów, wszelkie polowania na kuropatwy powinni ustać, a staranna piecza o ich przezimowanie powina być obowiązkiem każdego myśliwego. *J. Żarnowski.*

Z WYCIECZKI DO KROŚNIEWIC.

2

Po śniadaniu pojechaliśmy zwiedzić lasy.

W lasach cisza, zbieranie jagód, grzybów i drzewa raz na zawsze zabronione.

Drogi tak w lesie jak i na polach obsadzone żarnowcem i wiecznym łubinem. Cały las poprzecinany chodnikami na 50 cen. szerokiemi, na których ustawiono pułapki drewniane, takie same pułapki widzimy w otworach specjalnie porobionych w ogrodzeniach szkółek i gajówek.

Po drodze widzimy stałe budki do polowania z puhaczem, w pewnej odległości od budek stoją słupy z żelazami, takie same słupy widzimy poustawiane po zagajnikach i polach. Po całym majątku porozkładano jajka i koninę, zatrute strych-



Krośniewice: Nadleśnictwo.

RAMOTY I RAMOTKI MYŚLIWSKIE.

Jak się Antek Kułak wycyganił od kłusownictwa.

Myśliwemu, jak to już powiedziałem, wszystko wolno, — wolno mi więc też pisać o wypadkach, które wcale się nie działy, albo wypadki, których widownią ich było Bukstehude przenieść do kochanej naszej ojczyzny, na Mars nawet, gdyby mi się tak podobało.

To należy wypowiedzieć na wstępie dzisiejszej ramotki.

Za opowiadania o dziwnej przygodzie na polowaniu w Kitajgrodach, które przez niedyskrecję jednego z komilitonów dostały się do wiadomości pana Dowejki-Moczymordy i Domejki z Ślepejkiszki, odebrałem od tychże dosyć siarczyste sprostowanie. Dziedzic z Moczymordy twierdzi, iż moczymordy nie dziedziczy, bo z całą rodziną Dowejków od czasu Kiejstutów należy do abstynentów, wogóle na Litwie nie mówi się też morda, lecz pysk, albo gęba. Dziedzic z Ślepejkiszki zaś twierdzi stanowczo, że po szczęśliwej operacji, wogóle już ślepej kiszki nie posiada.

niną. Wszędzie widzimy walkę ze szkodnikami a jakie są rezultaty tej walki, najlepiej nam powiedzą w dalszych numerach umieszczone zestawienia cyfrowe. Mimo to nie ze wszystkiemi szkodnikami dać może sobie radę nadleśny tutejszy.

Wiadomem jest, że największym niszczycielem zwierzyny jest człowiek, nie będę tu mówił o prostym chłopie kłusowniku, bo czujny dniem i nocą pan Lazar, dawno im zbrzydził polowanie w Krośniewicach. Wspomnę tu o takich panach co to posiadają karty łowieckie, kółka łowieckie, ale którzy nie posiadają etyki łowieckiej. Jako znamienny przykład tutejsze nadleśnictwo podało mi kółko łowieckie dzierżawiące Dąbrowice, której to ziemie graniczą z dobrami Krośniewickiemi. Kółko powyższe na tych samych terenach graniczących z dobrami Krośniewickiemi robi jednego roku po kilka polowań z naganką, szczególniej z dobrym rezultatem jak zapolują w parę dni po dorocznem polowaniu w Krośniewicach. W imię dobra naszego łowiectwa winny odpowiednie władze sprawę tę wyświetlić.

(D. c. n).

Antoni Łączkowski.

O tegorocznym zwierzostanie ptactwa błotnego i wodnego.

Podczas tegorocznego urlopu poświęciłem cały wolny czas umiłowanemu polowaniu i z przykrością skonstatowałem, że w środkowej części z. Piotrkowskiej (okolice położone na południo-zachód od Piotrkowa) stan kaczek, bekasów i t. p. zwierzyny przedstawia się bardzo nieszczególnie. W porównaniu z rokiem zeszłym przeciętny ubytek procentowy zwierzyny błotnej i wodnej wynosi tam 40 do 50%.

Na dużych kompleksach wodnych, gdzie w zeszłym roku była moc kaczek, w tym roku bardzo mało ich się spotykało.

Przyczynę tak znacznego ubytku należy przedewszystkiem upatrywać w zbyt suchej wiośnie, innemi słowy, podczas lęgów niebywałe susze uprzystępniły dojście do gniazd całej falandze poczciwych pastuszków, no i nieraz dorosłych kmiotków, którzy nieomieszkali skwapliwie wybrać wszystkie napotkane jaja kacze, czajcze, bekasie etc. etc. na jajecznicę, a o ile były już zalężone,— potłuc je na miazgę. Tego rodzaju kłusowniczo-destrukcyjny żywioł rokrocznie tępi w wielkiej ilości kaczki, bekasy, czajki i t. p. zwierzynę, Opowiadało mi kilku chłopców-pastuszków „bona fide“, że tyle, a tyle jaj kaczych jeden z nich ubiegłej wiosny zebrał, 40 do 50 sztuk każdy (sic!), nie wiedząc rzecz prosta kogo mają przed sobą; gdym po tak rozczulającej opowieści obiecującego pastuszka zbliżył się doń pośpiesznie i chciałem odpowiednio dobitnemi argumentami zareagować na miłe wieści, spostrzegłem, że w jednej chwili mój interlokutor ulotnił się, pozostawiając mnie samego z nader smutnemi refleksjami.

Z powyższego jasno wynika, że wobec tak niskiej kultury naszych włościan gruntownie zdeprawowanych długotrwałą niewolą najeźdzcy, nie można nawet marzyć o tem aby zwierzostan nasz mógł w najbliższej przyszłości ulec pewnej poprawie, — chyba że nasze władze wezmą prawdziwie do serca tę sprawę i nieomieszkają wprowadzić jaknajsurowszy wymiar kar za tego rodzaju przewinienia. Rodzice takich smyków-niszczycieli winni

---

Jak przystało na uczciwego literata notuję tutaj zmiany personalne własności dziedziczne w ziemi Giedymińskiej, a z ubolewaniem przekonuję się, że z ramotki mojej na całej Litwie zadowolony był tylko pejsaty Izak Abraham z Taurogów. Gdym go wczoraj spotkał na „Placu Wolności“ publicznie uścisnął mi rękę za „w tak delikatne sposób“ popieranie jego interesów, a w prawicy mojej znalazłem następnie w zupełnie „delikatne sposób“ wsuniętą prawdziwą, srebrną dwuzłotówkę. I niech mi teraz ktoś powie, że Żydzi nie są porządni ludzie!

Do powyżej zatytułowanej gawędy myśliwskiej był wstęp ten konieczny, już z tego względu, iż przeniosłem pole działania jej bohaterów na mocy przysługującego mi przywileju do moich kochanych, wesołych, a poczciwych Pałuk, miejsca rodzinnego Augusta Wilkońskiego, gdzie gospodarował, tańczył i hulał, dowcipkował i drwił z siebie i z drugich, a mnie to dziedzictwo w dalszym ciągu w testamencie przekazał. Miejsce działania wypadków opisanych odbywa się więc tym razem pomiędzy Wągrówcem, Gołańczą, a Łeknem. Nauczony doświadczeniem z panem Dowejko i Domejko zapewniam więc z góry wszystkie tamże zamieszkujące rodziny Gruszków, Bajdurskich i Kułaków, bohaterów niniejszej opowieści, iż wymieniając tak znane nazwiska, ich bynajmniej nie miałem na myśli. Szanuję i cenię wysoko wszystkich majstrów kunsztu rzeźnickiego i obuwniczego, już

bezwarunkowo podlegać w pierwszym rzędzie ostrej karze, którąby zmusiła ich do wymierzenia od siebie podłym bachorom odpowiedniej cielesnej nauczki, powstrzymującej ich gwałtowne jajecznicowe apetyty.



Cyraneczka. Fot. prezes Świętorzecki

Niezłe względnie zwierzostany spotyka się tylko bądź na dworskich, pilnie strzeżonych, obszarach, bądź też na wielkich przestrzeniach błot i jezior Wielkopolski, Pomorza względnie Kresów, gdzie w pierwszym wypadku, dzięki starannej ochronie i racjonalnej gospodarce łowieckiej, w drugim zaś, ze względu na duże odległości i naturalne przeszkody, zła ręka szkodnika dotrzeć nie zdoła.

Pozatem chciałem poruszyć tu sprawę tolerowania łysek (Fulica atra) obficie zamieszkujących nasze stawy i jeziorka. Nie wszystkim może myśliwym wiadomo, że łyska, napozór niewinny głupi ptak, który niesympatycznym wrzaskiem napełnia nasze stawy, — jest wielkim wrogiem kaczek i tam gdzie na mniejszej przestrzeni wodnej rozwielmożnią się łyski, kaczek zwykle jest niewiele, Łyska podczas pory lęgowej przedstawia dla kaczek groźnego przeciwnika i wygryza je, tj. prześladuje ustawicznie, zmuszając kaczki do opuszczenia danych terenów. Na tych więc stawach gdzie są łyski, kaczek lęgowych wiele spodziewać się nie można. Właściciele terenów winni z wiosny niedopuszczać do osiedlania się łysek i póki czas przed lęgiem, tępić je energicznie i bez pardonu, aby przez to ochronić kaczki.

Pozwolę tu sobie zauważyć, że długoletnia praktyka moja i pilne obserwacje nasunęły mi garść refleksji co do czasu ochrony niektórej zwierzyny. I tak czas ochrony kaczek, bekasów, bekasików, dubeltów, czajek etc. winien być bezwarunkowo przedłużony do 20 lipca, gdyż rokrocznie spotyka się zbyt małe kaczki i inne ptaki łowne jeszcze nielotne w pierwszej połowie lipca; szkodę więc wielką przynosi się tym ptakom zabijając, mimowoli nieraz, stare od zbyt młodej progenitury.

Sądzę, że C. Zw. P. St. Łow. poczyni odnośne starania u władz kompetentnych w celu wyjednania odnośnej zmiany czasu ochrony powyżej przytoczonej zwierzyny i że zmiana terminu tego wejdzie w życie już w przyszłym sezonie łowieckim.

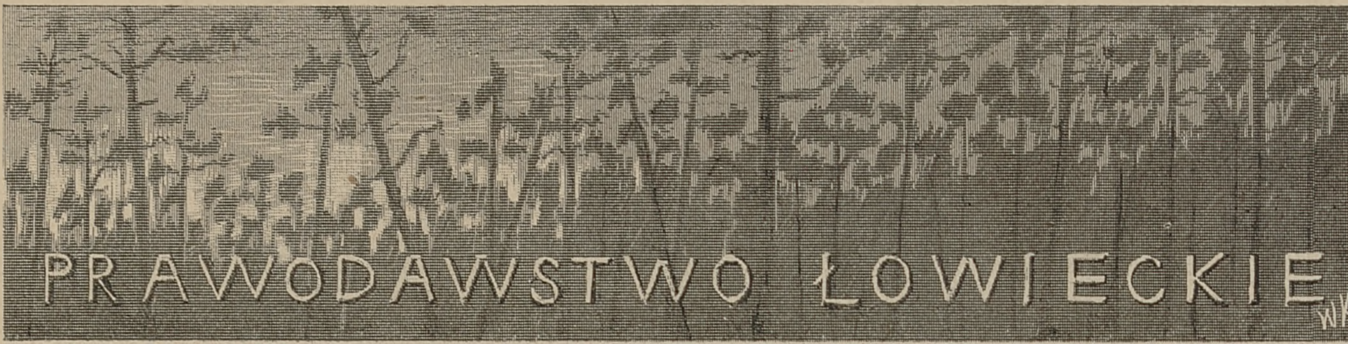
Stefan Ostrowski.

---

przez sam wzgląd, iż nie jestem wegeterjaninem i buty noszę. Oświadczam też, iż cenię nad wyraz rodzinę Kułaków, nawet wtenczas, gdyby Antek miał być ich familjantem i przyznał się do kłusownictwa. W takim wypadku zmieniłbym bezzwłocznie zdanie i uznałbym kłusownictwo, jako rzecz etyczną, podtrzymującą prawidłowe łowiectwo, a pana Antoniego, jako człowieka ze wszech miar godnego szacunku. A teraz zabezpieczywszy się na wszelkie nieprzewidziane wypadki od krytyki, nieścisłości geograficznej i injuryjnej skargi publicznej obrazy — proszę posłuchać, jak się imci pan Antek Kułak wycyganił od kłusownictwa.

In illo tempore, kiedy się opowiadanie to wydarzyło, były wszystkie chłopy z szczególnym respektem dla każdego pana sędziego. A cóż dopiero mówić o wielmożnym sędzi karnym Grinbergu „prześwietnego sądu“ w Wągrowcu, który według uznania wszystkich, co mieli wątpliwą przyjemność rozmawiania z nim przez stół zielony, „siarczyste“ dyktował wyroki. Szczególną jednak pieczołowitością otaczał on kłusowników i gdy który stanął za kratkami, mógł być pewien, że na pół roku conajmniej zaprzestanie kłusownictwa, t. j. jeżeli łowienia szczurów i myszy, których wówczas w starym klasztorze, zamienionym na więzienie, nie brakło, do łowów niedozwolonych nie policzymy.

I jakże mogło być inaczej?—pan sędzia Grinberg wiedział dobrze, dlaczego był tak surowym



Na marginesie Karty myśliwskiej.

Choć kilkanaście dopiero mieszkamy lat w wolnej niepodległej ojczyźnie, to jednak nieomal wszystko, co było niemieckie zmieniło się na polskie. Miejsce „pikielhaubów“ zajęły rogatywki naszych żołnierzy; mamy polskich policjantów, leśników, polskie mamy szkoły, polską mamy i Kartę myśliwską. Tu jednak niemczyzna pozostawiła swe ślady. Polską jest ona de nomine, bo wydana w języku polskim, de facto jest to tylko tłumaczeniem niemieckiej karty myśliwskiej, bez zbadania przed wydaniem jej zwierzostanu tej dzielnicy, dla której została wydana. Pierwowzór naszej Karty myśliwskiej wydano dla obszaru b. Królestwa Pruskiego. Czas ochronny ustalono dla zwierzyny, która się i faktycznie znajdowała w Królestwie. Można było ochraniać łosie, które były w Prusach Wschodnich w nadleśnictwie Ibenhorst, bobry nad Łabą. muflony i indyki w Taunusie.

Dobrze jest móc ustalić czas ochrony dla rzadkiej zwierzyny, ale tam tylko, gdzie ona jest. Pocóż więc podawać czas polowania i ochrony zwierzyny w polskiej Karcie myśliwskiej dla b. dzielnicy pruskiej, skoro jej niema ani w Poznańskiem, ani na Pomorzu. Można było tłumacząc „Jagdschein“ niemiecki skrócić go, zastosować je do zwierzostanu b. dzielnicy pruskiej i skreślić z niego łosie, bobry, dzikie indyki oraz muflony.

Inna jeszcze kwestja. Ustawą z dnia 30 maja 1908 r. (Zn. pl. 307) nie podlegają ochronie dzienne ptaki drapieżne (z wyjątkiem sokołów wieżowych, myszołowów, kań) puhacze, wróble, łyski, kormorany, nury etc., etc.

Bardzo niejasnem jest, dlaczego kanie podlegają ochronie. Wiadomo przecież, że wszystkie kanie, kania rdzawa (Milvus milvus) i kania czarna (Milvus korschun) oraz wszystkie błotniaki (Circinae) chociaż przez częściowe karmienie się myszami i polnikami oddają znakomite usługi rolnictwu, to jednak przez zjadanie młodych kuropatw i łowienie małych zajączków znaczne wyrządzają szkody łowiectwu. Bardziej w każdym razie szkodliwe są kanie od myszołowów.

Dalej nie podlegają ochronie kormorany.

Ptak ten nieomal zupełnie już wytępiony w Polsce. Mała tylko kolonja, w ilości około stu sztuk, gnieździ się w okolicznych lasach Gdyni

---

dzierżawił przecież sam polowanie, jedno z większych na całą okolicę. Nie tylko pobliska Dąbrówka klasztorna, ale i budy okoliczne należały do jego myśliwskiego rewiru. Miał więc i strzelbę i psa i do straży łowieckiej nieodzownego strzelca i, bez czego wówczas, jak i dzisiaj, obyć się nie było można, nieproszonych gości kłusowników. Działał on więc jednocześnie pro domo sua. Już trzy razy sprzątnięto mu najpiękniejsze kozły. Strzelec, stary Pietrach, klął na czem świat stoi, na ten despekt sprawiany jego strażniczej godności.

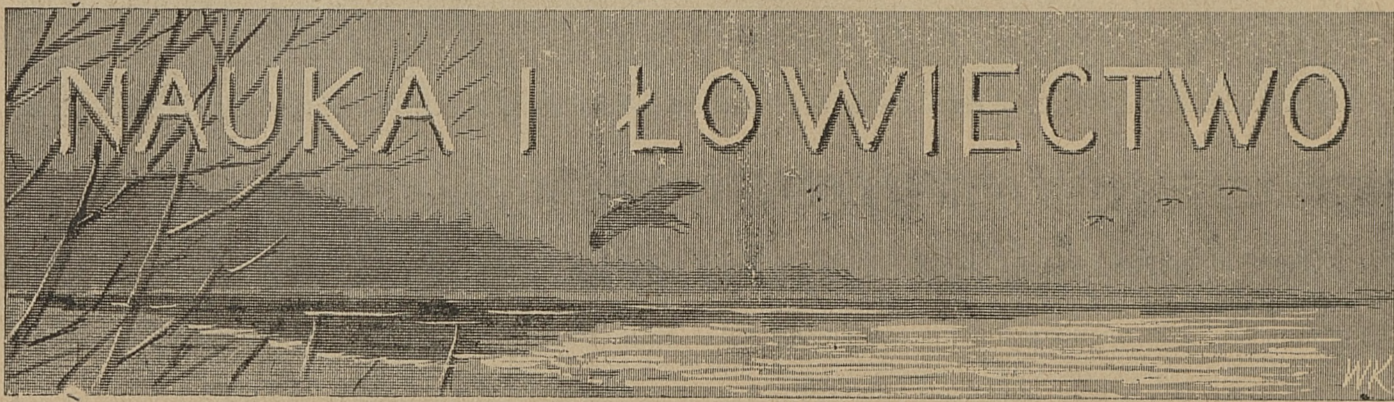
Pan Grinberg na tę wiadomość bił pięścią o pulpit sędziowski, aż wielki zielony „królewski“ kałamarz skakał, a urzędowy atrament pryskał na białe pantalony — jakie wówczas noszono, a które były (tem ci gorzej) prywatną własnością wielmożnego pana sędziego. Przysięgał też na wszystko uroczyście, iż skoro tylko łotra pochwyci, w oleju rozkaże go uwarzyć, powiesić, poćwiartować i kołem bić.

Biedni winowajcy, którzy w tym czasie przydybani zostali w obcych łowiskach, dostali za swoje: dni mieli nie wesołe.— „Jak też ten wielmożny sędzia jest niewierny“, skarżono się ogólnie. I rzeczywiście żaden z nich nie mógł się wykręcić sianem: bo jeszczeby tego brakło, aby jemu, jako myśliwemu wcyganić można było, że któryś tam siekańcami palił właśnie do trznadli, gdy kozioł przebiegał przed rurami, albo, że drut jego sam się tak

i ta kolonja wnet zginie, o ile czemprędzej nie wejdzie w życie ustawa, zabraniająca tępienia kormoranów przez cały rok. Ptak to wprawdzie szkodliwy dla rybołóstwa, ale biorąc pod uwagę to, że jedyna to kolonja tych rzadkich ptaków w Polsce, warto będzie stworzyć w lasach nadbałtyckich rezerwat i ochraniać kormorana jako pomnik natury.

Czas zreformować kartę myśliwską „in capite et membris", — czas stworzyć własne dzieło.

Leon Ossowski.



SOKÓŁ WĘDROWNY.

(*Falco peregrinus calidus*).

Ponieważ sokół jest zawsze ostrożny, wyszukuje do noclegu tylko gęste drzewa szpilkowe, jak jodły i świerki, aby w gęstwie ich gałęzi ukryć się na noc bezpiecznie. Nie mogąc znaleźć odpowiedniego drzewa, nocuje także chętnie w czystem polu, na kamieniu lub kretowinie, bo tam czuje się bezpieczniejszym. Na spoczynek udaje się późno, prawie o zmroku i zawsze z pełnem wolem. Zająwszy obraną gałąź, chwilę nadsłuchuje i patrzy wokoło; uspokojony, strzepuje pióra i zasypia. Za dnia nie lubi siadać na drzewach, chętniej natomiast sadowi się na dachach domów, wieżach kościelnych, na gzemsach i na polnych kamieniach. Siedząc i trawiąc, wciąga szyję w ramiona tak, że okrągła głowa ledwie mu ponad korpus wystaje; ogólny kontur jego ciała przybiera wtedy kształt owalny. Najedzony lub zmęczony, urządza sobie nieraz sjestę dzienną. Białe podgardle i odcinające się wyraźnie ciemne bokobrody czynią go i zdala łatwym do poznania. W locie wyróżnia się krótkim tułowiem, wąskim i, zdawałoby się za krótkim, kończystym ogonem, i długiemi sierpowato zgiętemi skrzydłami. Rozporządza głosem silnym i pełnym, podobnym do brzmienia „kjak", „kjak" lub „kajak", „ka-

---

zwinął w pętlicę, w której się następnie zając osidlił.

Tylko jednego schwycić nie było można, a właśnie na tego i on i strzelec jego najwięcej miał podejrzenia — był to Antek Kułak z Bartodziej, „hundsfot" z pod ciemnej gwiazdy, jakiego świat nie widział. Że wychodził na kłusownictwo, powszechną było tajemnicą; ale przycapić się na gorącym uczynku nie dał. Dwa razy stawał już jako podejrzany przed srogiem obliczem sędziego, który z pod krzaczastej brwi spozierał tak przenikliwie, jakby przyznanie winy siłą hypnotyczną chciał gwałtem wymusić. Ale nie na Antka z Bartodziej takie sposoby!

„Na tego chłopa zastawię łapkę — dzień i noc każę pilnować—a jak mi raz dostanie się w ręce, nie puszczę, chociażby dziesięciu adwokatów z Galonem i Kitlem na czele wykręcać go miało — jakem Grinberg, nie puszczę!" — Tak się odgrażał na wieczornej sesji „sztamtyszu" w oberży p. Zapałowskiego wielmożny sędzia prześwietnego sądu wągrowieckiego. I rzeczywiście niedługo potem Antek dostał zapozew sądowy, ale zupełnie w innej sprawie

Miał Kułak nieprzyjaciela, a tym był szewc — przepraszam — majster kunsztu obuwniczego Bajdurski w Gołańczy. Nieprzyjaźń ta polegała na wzajemności, a dla pana majstra o tyle mniej była przyjemną, że Kułak miał od niego i grubszą pięść i siłę większą, o czem znowu namacalnie, a dowodnie mógł się przekonać.

jak", a wydaje go w czasie parowania się, lub gdy walczy z innym sokołem w obronie swego rejonu myśliwskiego. Odpędzając natręta, goni uporczywie za nim, uderza go szponami lub dziobem i wtedy odzywa się głosem, podobnym do gdakania. Gdy broni łupu, nakrywa go przez czas krótki skrzydłami, gdy jednak inny rabuś za blisko przyleci, podrywa się bez łupu w szponach, podlatuje do napastnika i gdacząc głośno, tnie go bez miłosierdzia dziobem i szponami. Lecą wtedy gęsto pióra z obu zapaśników. Napastowany przez wrony, kanie, błotniaki lub inne, cudzym kosztem żyjące ptaki, porzuca im łup a sam odlatuje. Przed człowiekiem i psem łup zawsze unosi. Myśliwego poznaje zdaleka i unika z nim spotkania, nawet tam daleko na północy w tundrach, gdzie wogóle ludzi nie widać. W miastach natomiast niewiele robi sobie z ruchu ulicznego i chwyta zdobycz w oczach widzów.

Sokół wędrowny poluje tylko na ptactwo. Jest postrachem wszystkich ptaków, począwszy od dzikiej gęsi, a skończywszy na skowronku. Wśród gołębi swojskich sprawia prawdziwe spustoszenia; również i kuropatwy cierpią wiele od niego. Na dzikie kaczki, zwłaszcza na cyranki, poluje zawodowo. Przyciśnięty głodem, porywa wrony, kawki i gawrony i żywi się niemi całemi tygodniami. Aby się nie zabić, nie porywa zdobyczy z ziemi. Zdaje sobie bowiem dobrze sprawę z tego, że rozpędziwszy się np. do kuropatw, żerujących na ziemi, nie mógłby na czas wstrzymać lotu i rozbiłby się na grudzie, w wodzie zaś utonąłby bez ratunku.

Opowiadano mi o pływającym na stawie sokole, który, puściwszy się za kaczką, wpadł do wody i już z niej nie mógł się wydobyć. Rybacy wyciągnęli go zmoczonego do nitki.

Zoczywszy kuropatwy na ziemi, stara się zmusić je do lotu lub czeka, aż kto inny to uczyni. Ptaki, siedzące na drzewach, napada znienacka, nakrywa sobą i porywa. Na zające nie poluje.

Lubi siadać na wynioślejszych miejscach, z których ogarnia wzrokiem szerokie przestrzenie. Skoro dostrzeże ptaka, któryby mógł stanowić smaczny kąsek dla niego, zwraca ku niemu najpierw jedno oko i potrząsa przytem charakterystycznie głową wprzód, potem patrzy pilnie obu oczyma, jakby chciał sprawdzić wielkość i jakość łupu, wreszcie prostuje skrzydła, podnosi ogon i wzlatuje błyskawicznie w stronę swej ofiary, niosąc jej śmierć niechybną. Na nic zdadzą się jej rozpaczliwe ruchy, na nic latanina; za małą chwilę broczy już we krwi własnej w szponach drapieżcy. Wrony, które mu czasem chcą przeszkadzać, uderza sobą i ogłusza. Jak gołębiarz boi się kruka i unika go, tak sokół wędrowny boi się pewnej białej, dużej mewy. Atakuje go sama i w spotkaniu wręcz niejedno piórko z niego wyskubuje. Walki tych dwu ptaków oglądać jednak można tylko daleko na Północy, w tundrach, a więc w osiedlu sokołów.

Schwytaną zdobycz zabija sokół uściskiem szponów lub, gdy mu się szamoce, uderzeniem dzioba w głowę i miażdżeniem czaszki; większe ptaki, jak dzikie gęsi, cietrzewie i t. d., z któremi spada na ziemię, uśmierca na miejscu, wyszarpując im ostrym dziobem krtań. Lot jego jest tak szybki i niewstrzymany, że robi wrażenie spadającej kuli. Swoją zapalczywość okupuje nieraz śmiercią. Opowiadano mi, że goniąc za gołębiem, uderzył sokół sobą o drut telegraficzny i odciął sobie głowę. Jest przytem tak zuchwały, że porywa myśliwemu postrzeloną kaczkę. Zaniósłszy zdobycz w ustronne miejsce, oskubuje ją tylko w tem miejscu, z którego jeść zaczyna, w miarę zjadania oczyszcza sobie następne kąski. Małe ptaszki połyka w całości; widzieć to można

---

W Łeknie odbywał się 29 czerwca, jako w dzień św. Piotra i Pawła uroczysty odpust, i Bajdurski wracał ku domowi dopiero (z wielkiej nabożności oczywiście) około 9-ej z wieczora, nie zupełnie „nalany", ale też i niezupełnie „próżny", gdy w tem mu drogę od Kominka zachodzi Kułak i nie wdając się w żadne długie rozhowory pali mu jednę na odsiebkę, drugą na ksobkę, że zaraz panu majstrowi zaświeciło się w ślepiach, jakoby w dziesięciu kościołach naraz zapalili odpustowe świeczki.

Tak opowiadał Bajdurski przed sądem, a oskarżony Kułak stał za kratką, słuchał i patrzył w ziemię z pokorą.

— Czy świadek może to przysięgą stwierdzić — pyta sędzia, — że to rzeczywiście był oskarżony?

— A jakżeby nie, prześwietny sądzie! przecież Kułaka znam, a jego niedźwiedzią łapę poznałbym po ciemku, choćby po omacku, pomiędzy stu innemi, przecież jeszcze dotąd dzwoni mi w uszach.

— No, Kułak, niegodziwcze jakiś, może się znów wykręcać zechcesz; ale to ci przepowiadam, że skoro się wdasz w wyłgiwanie, wpakuje ci tyle, że oczerniejesz.

— Teraz mów, byłeś ty — czy nie?

Ale z niemałym podziwem pytającego przyznał się Antek bez ogródki do tych dwu zausznic, a pan pisarz wpisał do protokółu, że „Angeklagter

u sokoła trzymanego w klatce i karmionego wróblami.

Jeśli się zdecyduje na założenie gniazda w naszych stronach, co zdarza się skutkiem jakichś nadzwyczajnych okoliczności, wybiera na ten cel urwiska skalne i znachodzące się w nich nory ziemne, trudno dostępne. W braku takich miejsc gnieździ się na wysokich drzewach w lesie. We właściwej ojczyźnie swojej, w tundrach północnej Europy, Azji i Ameryki buduje gniazdo nawet na ziemi między kamieniami lub grudami wypłukanej gliny. Półwysep Samojedzki jest ulubionem lęgowiskiem wędrownych sokołów. Samica znosi zwykle cztery okrągławe, chropowatą skorupą okryte jaja z bronzowemi plamami na brudno-żółtem tle. Wysiaduje tylko samica, a samiec ogranicza się do znoszenia jej żywności i do obrony gniazda. Do dzieci przywiązują się oboje rodzice gorąco. Karmią je najpierw mięsem, strawionem już nieco, które wraca im z dzioba, później żywemi ptakami, wreszcie wyrzucają je z gniazda, uczą latać i polować. Po kilku miesiącach nauki i ćwiczeń mogą młode żyć samodzielnie.

Sokół wędrowny jest wielkim szkodnikiem i nie można go tolerować w rewirze. Niszczy bowiem wiele łownej zwierzyny. Gdyby zresztą polował dla siebie tylko, możnaby mu darować niejeden wybryk; poluje on jednak często dla kogo innego.

Ten ptak odważny boi się innych jastrzębi, jak kań, błotniaków, myszołowów i t. d., straszą go nawet stada wron. Napastowany przez kanie i błotniaka, porzuca im trzymany w szponach łup, odlatuje i zaczyna łowy na nowo.

Jak gołębiarzowi wypowiada się walkę bezwzględną, tak sokoła należałoby oszczędzać. Dumny i piękny ten ptak jest prawdziwą ozdobą naszych pól i lasów, a że bywa dość rzadki, zasługuje jeśli nie na ochronę, to przynajmniej na pobłażliwość. Swojemi zaletami podbija nieświadomie serce myśliwego i zniewala go dla siebie... W jego wystąpieniu jednoczą się siła ze zwinnością, odwaga z przedsiębiorczością. Sokół zresztą dokonywa naturalnej selekcji wśród ptactwa łownego, gdyż ubija tylko słabsze, mniej rozwinięte i mniej doświadczone egzemplarze.

Trzymany w niewoli—żyje długo. Trzeba go jednak karmić zawsze tylko świeżem mięsem i dawać czystą wodę do picia. Najlepiej mu służą strzelane ptaki, choćby np. wrony i sroki. Ich kości i pierze ułatwiają mu trawienie. Trzymany z gołębiarzem, ginie prędzej czy później w szponach tego strasznego drapieżnika. Puhacza nienawidzi i, zoczywszy go, bije na niego natarczywie całemi godzinami. Z budki nie trudno go zastrzelić... W żelaza chwyta się łatwo, natomiast w samotrzask z żywą przynętą nie wejdzie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Ponieważ jest ptakiem silnym, odważnym i obrotnym, ponieważ łatwo się oswaja, używano go od dawna obok raroga i białozora do polowania na wszelkie myśliwskie ptactwo i na zające. A przyuczano go do rzemiosła łowieckiego *ad usum* człowieka w sposób interesujący, postępując inaczej z ptakami młodemi, wybranemi z gniazda, a inaczej z ptakami staremi, schwytanemi w sieci. Mistrz w chwytaniu sokołów wybierał się na połów z białym gołębiem, uwiązanym na cienkim, silnym i bardzo długim szpagacie i z siecią, złożoną z dwu części: z siatki, ujętej w cztery listewki, naciągniętej na półkolistą obręcz. Górna część sieci w kształcie worka mogła, pociągnięta sznurkiem, nakryć dno zależnie od woli sokolnika. Na otwartej przestrzeni, zwykle między lasami w miejscach wyniosłych, znanych oddawna z ciągu sokołów, usadowił się sokolnik ze swoim sprzętem. Na przy-

---

Anton Kulak“ z Bartodziej „dobrowolnie“ się przyznał, iż w dzień odpustu św. Piotra i Pawła o godz. 9 wiecz. pomiędzy Łeknem a Kominkiem majstrowi kunsztu szewskiego, Szczepanowi Bajdurskiemu z Gołańczy, dwa policzki oblewane wymierzył.

Za takie niedozwolone zmniejszenie odległości pomiędzy dłonią, a twarzą przeciwnika, przewidziane w kodeksie karnym w paragrafie tym, a tym, dostał Kułak trzy dni aresztu.

Skoro tylko Kułak wyszedł z więzienia, oczekiwał go przed bramą imci pan Gruszka, majster rzeźnicki z Łekna, i mówi: słuchaj Antek, czyś to ty Bajdurskiemu dał w gębę, czy też ja?

— Pewnieś to ty mu dał, zaraz skalkulowałem, skoro tylko szewc na mnie przysięgał—bośmy obydwaj wzrostem i ubraniem sobie równi. Ale, myślę sobie, Gruszce, takiemu obywatelowi od cechu rzeźnickiego, radnemu miasta, nie będzie honorne pójść do dziury; weź to na siebie, — chociaż parę dni przesiedzisz — to dla ciebie nic, a Gruszka okaże się wdzięcznym.

— I nie omyliłeś się — chodź! — rzekł Gruszka i prowadzi go do pobliskiej oberży „pod kwaśnym Juljuszem“. Tam też poszli, a Antek jadł i pił za trzy chude dni na rachunek Gruszki i wsunął jeszcze z przyjemnością dziesięć bitych talarów do kieszeni.

Wracając do domu mruczał z zadowoleniem: Patrzcie, to był Gruszka, ktoby to pomyślał, ale się udało!

gotowanym słupie z deską rozpinał dno, nad niem przymocowywał siatkowe wieko, przywiązywał do niego sznurek i chował się z nim w przygotowanej ziemiance. Przedtem jednak zostawiał na ziemi gołębia, z przywiązaną do długiego szpagatu nóżką. Skoro się sokół pojawił, choćby daleko, szarpał sokolnik gołębiem i zmuszał go do wzlotu, popuszczając przytem szpagatu. Sokół uderzał na gołębia i momentalnie go chwytał. Na to tylko czekał człowiek. Wiedząc, że drapieżnik, zatopiwszy szpony w ciało gołębia, nie łatwo się go pozbywa, począł go ciągnąć wraz z gołębiem w szponach ku zastawionej sieci. Zajęty swoją ofiarą, nie zdawał sobie sokół sprawy z tego, co się z nim dzieje i pozwalał się wciągnąć na sieć i nią wreszcie nakryć. Już złapany, trzymał jeszcze kurczowo gołębia w szponach. Łatwo łowiono w ten sposób sokoły-rarogi; z wędrownemi szło trudniej.

Najłatwiej układano młode ptaki i dlatego wybierano je z rzadko zakładanych gniazd, gdy jeszcze latać nie mogły. Sokolnicy pielęgnowali je starannie, karmili obficie i poili świeżą, czystą wodą. Znany Cygański, autor „Myślistwa ptaszego“, poleca karmić młode sokoły świeżem mięsem i chować je na wysokich wieżach, aby nawykły patrzeć szeroko i wysoko się wzbijać.

Warunkiem skutecznej nauki było, aby młody sokół jak najmniej sypiał, bywał w miarę potrzeby głodny i aby obcował ciągle z człowiekiem; w następstwie tych zabiegów ptak stawał się łagodnym, posłusznym i przywiązywał się szybko do swojego hodowcy. Aby nie mógł sypiać, umieszczano go na noc na zwisającem kółku i jeszcze osobno często we śnie budzono; aby zaś był potulny i posłuszny, dręczono go głodem. Sokół musiał się nauczyć tego, co mu jeść wolno i kiedy. Przywoływano go do jedzenia gwizdaniem, a że mu karmę podawano z ręki, więc uczył się wracać do ręki na każdy głos gwizdka i na ręce jadać. Jak młody, rozpoczynający edukację sokół, nazywał się „gnieźnikiem“, tak znowu stary, przyuczony już do polowania, miał miano „dziwoka“, tresowanego zaś gołębiarza lub krogulca zwano „maiżem“.

W czasie tresury w miesiącach: czerwcu, lipcu, sierpniu i wrześniu pętano młodemu sokołowi nogi i noszono na obręczy, na której z trudnością utrzymywał równowagę, a oczy zasłaniano skórzanym kapturkiem. Na pierwszych polowaniach, podczas t. zw. „próby“, puszczano sokoła na zwierzynę na długiej linewce, zwanej „pętcą“, bo mu jeszcze nie dowierzano, i przyzwyczajano do siadania na popoprzecznie umocowanym drążku „berle“ lub na ręce, ubranej w grubą, łosiową rękawicę. Zdarzały się wypadki, że nawet po dłuższej, forsownej nauce, sokoły uciekały. Zapominały więc o tresurze, lekceważyły sobie towarzystwo człowieka i przenosiły wolność i swobodę nad niewolę.

Gdy się sezon myśliwstwa sokolego kończył, co następowało zwykle po spadnięciu pierwszego śniegu, zamykano sokoła w ciemnej, nieopalanej izbie i tam go dalej głodem i bezsennością dręczono. Zabiegi zmierzały do tego, aby złamać wolę sokoła, zniszczyć jego indywidualność, a narzucić mu wolę ludzką i uczynić go ślepem jej narzędziem. Jedne ptaki, o łagodniejszem i biernem usposobieniu, poddawały się człowiekowi, inne, o wybitniejszym temperamencie radziły sobie dezercją, albo ginęły...

Na łowy wybierano się konno i z psami legawemi (valtres, melampi). Sokoła niesiono na ręce lub berle. Głowę miał nakrytą kapturem. Gdy pies ruszył zająca, kuropatwę, pardwę lub kaczkę, zdejmowano sokołowi czapeczkę i wskazywano palcem pomykającą zwierzynę.

(*D. n.*)

Władysław Gürtler.

Prawie jednocześnie, gdy się to dzieje, donosi strzelec panu sędziemu, że w dzień św. Piotra i Pawła spotkał Antka Kułaka na kłusownictwie. Zabił on silnego kozła, którego zawlókł w gąszcz i okrył gałęziami. Manipulacji tej przypatrywał się z drugiej strony rzeki Wełny, której w tem miejscu dla znacznej głębokości przejść nie było można. Przez trzy dni i noce następnie czatował przy ukrytym koźle, ale musiał Kułak coś zmiarkować, bo się więcej nie pokazał, i rewizja w domu jego wypadła bez rezultatu; ani strzelby, ani źdźbła prochu nawet nie wykryto.

— Jesteś też zupełnie pewnym, iż to był Kułak?

— Przysiądz mogę, wielmożny panie sędzio, pomocnik, którego przyjęliśmy także go poznał.

Stefan Kułak dostaje zapozew. Pan sędzia, aż ręce zaciera z zadowolenia.

— No, Kułak! cieszę się niezmiernie, że cię znów widzę. Jakże ci się powodzi? — pyta drwiąco.

— Oh! bardzo dobrze, dziękuję, — i ja się cieszę, iż wielmożny pan sędzia tak często łaskaw na mnie, odrzekł Antek, uśmiechając się ironicznie.

— Odechce ci się śmiechu, ty mataczu! — krzyknął sędzia — zabiłeś kozła, tym razem nie pomoże żadne krętactwo. Strzelec Pietrach i jego pomocnik poznali ciebie — przyznaj się zaraz, jak to było?

Szlaki przelotu słonek i zachowanie się ich podczas pobytu w Dzikich Polach.

Cudny, tajemniczy ptak słonka, jak wiadomo ma dwa zasadnicze kierunki swych jesiennych i wiosennych migracyj. Obydwa, niestety, jednako przepełnione zdradą i szeregiem niebezpieczeństw srogich — dla tyle miłych sercu myśliwskiemu uroczych „scolopaxów“!

Zaiste dziwić się jeszcze potrzeba spotykając pewną liczbę okazów na ciągach wiosennych, pomimo tych smutnych okoliczności! Jedynie święta ręka matki przyrody jest w stanie zbilansowania jako tako, zdziesiątkowany etat drogich gości przelotnych. Otóż — kierunek zachodni dąży przez całą Europę Środkową i Południową ku wybrzeżom Afryki.

Zależnie od temperatury, wpływów atmosferycznych, siły i kierunku wiatrów — zatrzymuje się słonka dłużej lub krócej na etapach swych przelotów; to samo zjawisko ma też miejsce odnośnie do kierunku wschodniego przez Ukrainę, Wschodnią Małopolskę (sporadycznie tylko zawadzając o Kongresówkę i Poznańskie) — Rosję Południową, Kaukaz z dążeniem do Azji Mniejszej i Mezopotamji.

Nie mówiąc już o ofiarach bez liku rodu słonkowego (jako też i innych gatunków) na skutek nowoczesnych elektrycznych latarni morskich—trafiając w snop światła prożektorów których — giną rzesze całe ptasząt bożych — z tych, co to nocami peregrynacje swe odbywać zwykły, masowo kalecząc i zabijając się o szkła i mury. Oprócz tego— ileż to czyha na nie innych terminów okrutnych— od chciwości i nierozważnej głupoty ludzkiej!

Zauważyliście napewno—Czytelnicy Najmilsi— że po zimach mroźnych, śnieżnych — normalnie rozpoczynających i kończących swój okres — wiosenny powrót słonek — a co zatem idzie i ciągi — bywają mniej lub więcej obfite!

Po dżdżystych, zgniłych zaś — bardzo a bardzo skąpe! — jak to zresztą zaobserwować łatwo było w roku bieżącym. Albowiem im krócej przebywa długodzioba w krainach cywilizowanych Europejczyków, oraz barbarzyńskiego Wschodu — tem dla niej stanowczo zdrowiej i lepiej.

Pojawienie się słonki, chociażby pojedyńczej w nędznym lasku lub zaroślach Francji, Niemiec, Włoch lub Hiszpanji stanowi prawdziwy ewement — mobilizując zastępy całe miejscowych Nemrodów.

Szczególnie w dwóch ostatnich krajach zgłodniali adepci św. Huberta, po swych zwykłych tryumfach łowieckich w postaci zięb, czyżyków, pliszek, skowronków i innych równowartościowych trofeach — całemi dniami gotowi deptać i deptać słonkowe tereny, dopóki nie padnie od ich strzałów tyle drogocenna „dame au long bec“! Oprócz tego, we Włoszech naprzykład w miejscach odpowiednio zalesionych—przegniłym „humusem” z liści przykrytych,— na których to nocą,— jak wiadomo, lubi słonka żerować „wygrzebując“ ziemne glisty i robactwo wszelkie, — stawiają przeróżne sidła włosiane — specjalne nawet, za przeproszeniem, jak na lisy „żelaza słonkowe“!

Nie jedna z naszych uciech wiośnianych nieostrożnie wpada w nie, — gwoli rozkoszy podnie-

---

— Pierwsze o tem słyszę, prześwietny sądzie, — o żadnym koźle nic nie wiem.

— Pietrach, kiedyś go widział?

— W dzień św. Piotra i Pawła o godz. 9 wiecz. najdalej 50 kroków byłem od niego.

— No, Kułak, i gdzieżeś ty był w tym czasie — he?

— W tym samym czasie — akuratnie — wielmożny pan sędzia będzie też o tem coś wiedział dałem Bajdurskiemu pomiędzy Łeknem a Kominkiem dwa razy w gębę. Jakżeż to, skądżebym się miał wziąć nad Wełną? Są to dobre dwie mile drogi od miejsca, gdzie niby to miałem owego kozła zastrzelić i przechować. Stary Pietrach ma już słaby wzrok, prześwietny sądzie.

Pan sędzia aż podskoczył z za zielonego stołu, srożył się, krzyczał i wymyślał. — Przecież był pewien swego, dwóch świadków było na to kłusownictwo, a jednak wszystko napróżno: na takie alibi nie było argumentu, musiał go uwolnić.

Pan majster rzeźnicki Gruszka z Łekna, spotkawszy później Kułaka, rzekł mu w cztery oczy: Ty łotrze niepoprawny! to niby tego za mnie siedziałeś w kozie, udawałeś honornika? I dziesięć bitych mi wycyganiłeś? Wiesz — gdybym nie musiał przez wzgląd na własną skórę trzymać gębę, siedziałbyś, co najmniej pół roku w dziurze — ty ścierwo — ty zbereźniku jakiś!

Wł. Janta-Połczyński.

bień smakoszy miejskich, W podobnych warunkach oczywiście każdy dzień dłuższego pobytu w gościnnych stronach — staje się zabójczym w dosłownem słowa tego znaczeniu.

Nie przeszkadza to bynajmniej tamtejszej prasie do faryzeuszowskich artykułów o barbarzyństwie uprawiania ciągów wiosennych. Bezpodstawowość podobnych zarzutów, jak zawsze po mistrzowsku obaloną została w pracach czcigodnego Redaktora „Łowca Polskiego“ prof. Sztolcmana, który udowodnił ogromną przewagę samczyków śród strzelanych na ciągach. To też szanujący się myśliwy winien li tylko do chrapiących osobników swój strzał oddawać, gdyż odsetek wówczas może się wydarzyć — minimalny tylko! Może paść pierwsza lecąca, a nie druga naprzykład, gdyż Pani Serca zawsze przoduje — jak i w ludzkim rodzaju zresztą!

Jeśli zaś nawet omyłkowo padnie niefortunnie słończa niewiasta — jestto kroplą w morzu w porównaniu do „hekatomb“ odbywających się na zachodnich terenach, a szczególnie „sui generis“ metodach wschodnich [1]) — masowego tępienia! Rozważmyż więc całą szkodliwość i okrucieństwo wandalizmu pełne ostatnich — śród byłych rosyjskich — dziś bolszewickich stepowych przestrzeni!

W latach przedwojennych — kiedy to, w pierwszej połowie października (azjatyckiego star. st.) — miała nastąpić raptowna zniżka temperatury — naloty słonek bywały tak obfite w dębinach i zagajnikach ukraińskich, że nieraz, pamiętam doskonale jesień 1907 r. padało z mej ręki dziennie, nawet bez psa „na wydeptanego“ po 20—30 sztuk długodziobych! Kajam się! — „mea culpa“!

Odbywały się rzeczy gorsze — o których niżej! Lecz, zaprawdę trudnem jest powstrzymać się— kiedy to lasek każdy najmniejszy — na przeciąg co prawda 2—3 dni tylko — literalnie „nafaszerowanym“ jest! — aż roi się od słonek! Z krzaczka niemal każdego porywa się po 4—5 sztuk naraz! Rezultaty podobnych „niewstrzemięźliwości“ — 200—300 okazów za koniec września i początek października! „Horrendum”! W Kijowie, w lata podobne koszami całemi roznoszono na sprzedaż za bezcen (30—40 kop. para) setki upolowane przez miejscowych „Jermołajów“! [2]) Strasznem więc się zdać mogło podsumowanie wyników w obfite sezony — na całej przestrzeni Rosji Centralnej i dawnych Dzikich Pól Praojców! Lecz to zabawka tylko! Na Morzu Czarnem — niedaleko Odessy i Mikołajewa — na półwyspie „Kinburnską Kosą“ zwanym zarosłym całkowicie drobnemi krzaczkami łozy koncentruje się cały kontyngens słonek przelotnych do dalszego radykalnego odlotu zmuszony pogodą—na kilka dni coprawda tylko, dzięki Bogu!

Rozpowiadał mi tak wytrawny i znakomity sportsmen-myśliwy — jak mój przyjaciel inżynier Władysław Horodecki — że z paru chłopakami jako wyganiaczami chodząc po tych wiklinach — można było „wziąć” 400—500 sztuk słonek dziennie!

Strzał zaś, jak wiadomo, do słonki „z podrywu“ — na otwartem polu — żadnej trudności technicznej nie stanowi. To nie zwarta wysokopienna drągowina lub gęste zarośla! Najrzetelniejszy pudlarz — do podobnie „sowim“ lotem ciągnącego ptaka — niezawodnie trafi. W dnie więc „pojawienia się“ tak zwanych „wysypek“ [1]) — leciały depesze do przeróżnych Kijowów, Charkowów — Odessy ba! Moskwy i Petersburga nawet. Zjeżdżali się „pospiesznymi slepingami“ waleczni „ochotnicy” i, jak mówią Moskale, rozpoczynała się „potiecha“ [2])— ku zagładzie rodu twórców naszych radości wiosnianych! Kilka razy zaproszono mię na te gody — lecz jakoś Bóg chronił — bo Duch silny, ale ciało mdłe! — Kto wie? — jakbym się zachował wobec podobnej nawały, raczej „zadymki“ słonczej! — A teraz przybyłby do innych, jeszcze jeden wyrzut na sumieniu Myśliwego-Przyrodnika! — A rzecz to paskudna i „hadka bardzo“! — jak mawiał ś. p. p. Longinus! — pfe! aż niedobrze robi się od myśli tylko podobnej!

* *
*

Co to za radość! — kiedy bywało mój wierny Bronio Dymnicz „per modum“ leśniczy, rybak, pszczelarz i łowczy zarazem stawiał się z sakramentalnym meldunkiem „a słomki już som“!... wczoraj stary Taras „spędził“ aż dwie na Dżumie — dziś rano Pawło Zając jedną na Żarkach!

Wiosną też — kiedy to tchnienia ciepła — zaleciały od dalekich limanów Czarnomorskich — nieraz nawet śnieg spadł głęboki, miękki, puszysty jak zwykle wiosną, tworząc krajobraz niemal zimowy. A jednak „scolopaxy“ odbywały normalnie bynajmniej nie zważając na „aurę“ swe masowe przeloty! Niesamowity zaiste był widok słonek z pod okiści śniegowej krzaka się porywających, lub też żerujących po kilka na raz u podnoży starych dębów — gdzie tylko czarny, otwarty szmatek Matki Ziemi dawał się widzieć! Młody, gorący na ten czas strzelec, rwałem się nieraz do rusznicy

[1]) Podobno też w okolicach Batumu, Soczi — na wzgórzach winnicami pokrytych przy dłuższem zatrzymaniu się słonek — też rzezie homeryczne się odbywają — tysiącami sztuk liczone!

[2]) Typ kłusownika-myśliwego z powieści Turgenjewa „Zapiski Ochotnika“.

[1]) Partje zapadających dla odpoczynku i odżywienia się — na szlakach przelotów.

[2]) Uciecha.

„na siedzącego“ lub do myszkujących jak kulikidługodzioby! Pokusa niemała, dalipan „wytrącić“ naraz parę sztuk jednym strzałem! „A fe! paniczu!— nie godzi się — zalatuję ich bardzo! głodne takie! i „bidne“! — ot zaczekamy dni parę — a wtedy na ciągach na Żarkach dopiero walić będziemy! Aż się „zakurzy“! Jak gruszki z drzewa sypać się będą!“ — mitygował mię poczciwiec — nieodżałowany mój pierwszy Mentor łowiecki! Cześć Jego Świętej Pamięci! — padł albowiem ofiarą dziczy bolszewickiej, wkrótce po powrocie „towarzyszy“ „czudogerojew“ z frontów przeróżnych w „zacisze“ domowych pichrzy!

Pierwsze pojawienie się słonki wiosennej, zwykle u nas na Kijowczyźnie miało miejsce pomiędzy 20—28 marca starego stylu. Spiesząc się do miejsc lęgowych — bawiły bardzo krótko, jeśli szczególnie pogoda dopisywała. Zwykle przed 10 kwietnia znikały zupełnie. Raz jeden tylko zabiłem jedną 26 kwietnia przy pełnej drzew zieleni!

Stosownie też do pogody miały miejsce ciągi. Bywały wiosny kiedy można powiedzieć wcale regularnych ciągów nie było. W inne zaś, tydzień jaki — w miejscach odpowiednich — ciągnęły wybornie! -- prawie po „polesku“ nawet! Strzałów 8—12 nieraz w jeden wieczór się dawało. Rozkoszne szczególnie tereny były na moich Żarkach. Ciemne, czarne olszniaki — brzozowe „smugi“ w rdzawych strumieniach — leszczyna o paprocią tajemniczo zagęszczona — idealne ku temu stwarzały warunki! Krótko mówiąc do porównania z terenem Mozyrskim lub Pińskim śmiało się ów rewir nadawał!

(*D. c. n.*)

Adam hr. Rzewuski.

BIAŁY.

(*Opowieść*).

(*Dokończenie*).

Biały błyskawicznie, prawie w chwili strzału zawraca i to go ratuje od niechybnej śmierci... Bliski strzał rozszarpuje pień drzewa. A on — jak jasna plama między drzewami miga. Człowiek drugi raz przez drzewa ogniem błyska, targa grzmotem powietrze...

Biały słyszy świst, potem pluśnięcie jakby... umyka zdrowy — głowę w tył odrzuciwszy.

Znanym już, wąziutkim przesmykiem sadzi już spokojniej nieco, ale jeszcze prędko, bardzo prędko do swej ostoi... — nagle...

* * *

Człowiek tymczasem spotkawszy towarzysza, wściekły, zdenerwowany, zdaleka już krzyczy — Widziałeś? Widziałeś?

— Co? Strzelałem tam do sarn, był jeden rogacz, jak zwykle... ale jakoś nic, musiał wiatr być za wielki...

— Ale tego Białego widziałeś?! — pyta tamten podniecony, zdyszany.

Przeczący ruch głowy i wzdrygnięcie ramion.

— Rogacz biały był, mówię ci. Jak Boga... na mnie wprost! rozumiesz...? Biały?

— No i co? Toć-eś dwa razy strzelał, czy jak...

— Psiakrew, chybiłem! Po prostu mnie oszołomił — tak blisko ci mówię, tak blisko...

— No i gdzie poszedł teraz?

— A poszedł... djabli wiedzą.

— Toś też mógł lepiej!... żeby biały... Niesłychane.

— Musimy go jeszcze dostać!

Tak sobie mówili ludzie czyhający na życie nieustraszonego rycerza...

A on?

III.

Wielkie szczęście spotkało Rudą. Oto ów rycerz nieustraszony, piękny, ubóstwiany — ją sobie za towarzyszkę wybrał.

Kozy inne z zawiścią patrzyły na los radosny Rudej, niecierpliwiły się, swej kolei czekając, a tymczasem o innych kozłach słyszeć nie chciały, więc te, jak niepyszne, chodziły po lesie,—nie zważano na nie wcale.

Taki to już był upór kóz. — A może wielkie ubóstwienie Białego.

Ruda była niewymownie szczęśliwa. Prostotą i mocą całą młodego serca kochała swego rycerza. Bo też półbogiem był on dla nich wszystkich. Gdzież innym z Białym się równać?

A walki z nim, który najsilniejszego pokonał, nikt się już podjąć nie chciał. Oto leży jeszcze na łące ich wódz do niedawna — nieżywy. Oto tak się dziać będzie każdemu śmiałkowi, który Białemu, niepokonanemu stawi czoło. Schodzono mu więc

z drogi. A on za dumny był na to i za szlachetny, żeby zaczepki ze słabszym szukać.

I on to właśnie, najmilszy, rankami po szmaragdowym, świeżym, rośnym lesie chrapiąc i parskając — ją gonił.

Ruda była upojona radością.

A potem kładli się oboje w zagajniku, ona mu głowę miłośnie na kark składała—i spoczywali...

* * *

W nocy na niebie pojawiły się chmury.

Ciemno było i wiatr, drzewa chyliły się niespokojnie i szumiały. Zwierzyna po lesie lękliwie chodziła, w pole część tylko wyszła.

Przy drodze zerwaną kępą trawy, lub wrzosu zaspakajały głód.

Koło północy jął padać drobny deszcz... Szeleścił po drzewach, ciągłym, nieustannym szumem sypał się na gałęzie... Słychać go było tylko wtedy kiedy wiatr na chwilę cichł. Potem huczenie jego głuszyło szelest deszczu. Tylko z oślizgłych, mokrych konarów kapały ciężkie, duże krople.

Biały i Ruda z kilku innemi sztukami wyszły na pole. Ściernisko było puste zresztą, — z oddali słychać było fale na jeziorze bijące. Wiatr świszczał przeciągle... Sarny nie pasły się jak zwykle, ale po polu niespokojnie się kręciły, jakby czekając końca przykrej pogody.

Jakoż nad ranem deszcz ustał, wiatr zato wzmógł się, huczał głośniej jeszcze, ciężkie chmury waliły po niebie...

Wschód wstał blady, siny, jak wszystko—zmoknięty, na drogach jaśniały kałuże i w lesie chlupotała woda pod nogami.

W dali leżało ciemne, z białemi fal pasami—jezioro.

Sosny, świerki ociekały wodą.

Na pajęczynach pozrywanych przez wichurę częściowo, jakby perełki na sznurki z jedwabiu nizane wisiały kropel różańce. Pająk sam gdzieś się schował.

Teraz przeważnie na pola wychodziły sarny, w złym humorze, zmoknięte, drżące, nie jadły wiele i wracały do lasu, w drągowinach stały zmęczone, nie mając miejsca, gdzie mogłyby się położyć wygodnie i wypocząć — wszystko było mokre, oślizgłe, ociekające wodą. A w dodatku nad głową szumiało, trzaskało, huczało potężnie. Deszcz popadywał znowu. Ptaki gdzieś się pochowały, ani jednego słychać nie było. Króliki w nory powłaziły i nie pokazywały się stamtąd. Zając siedział pod jałowcem.

Tylko sarny z miejsca na miejsce chodziły nieszczęśliwe.

A na dobitkę zjawił się w lesie człowiek — w taką pogodę!

W sportowem, pięknem ubraniu, w gumowym płaszczu z dubeltówką w ręku.

Cicho, ostrożnie po lesie chodzi. Zresztą — nawet trzask połamanych gałęzi głuszy wichura.

Oto spostrzega sarny. Jest między niemi i Ruda, Biały tuż obok w zagajniku rwie, liście z młodej brzozy, przygiąwszy ją prawie do ziemi.

Człowiek skrada się. Zauważyła go jedna z sarn. Głos ostrzegający — już wszystkie pędzą między drzewami.

Następuje głuchy trzask. Sarny dalej uciekają, Ruda poczuła w tyle ukłucie jakby, — w bok skoczyła. Białego dogania i oto razem, zwinnemi prędkiemi skokami, skracają przestrzeń lasu, dzielącą ich od pola, ażeby przez nie do przeciwległych zagaji się dostać i tam bezpiecznie przepaść w gąszczach.

Lecz na skraju lasu za drzewem drugi stoi człowiek. Nawet bystry wzrok Białego nie dostrzega go — z pniem jakby się w jedno kształtem i kolorem zlał.

Wychyla się tuż przed niemi, zupełnie blisko. Przeraźliwy huk rozbrzmiewa w szumiącym lesie. Ruda rzuca się w bok i traci Białego z oczu. Ucieka, nie oglądając się za sobą...

IV.

Rzuciło go nagle o ziemię. Poczuł, że czemś jest dokoła szyi ściśnięty mocno, że się dusi prawie, ale co to — nie mógł zmiarkować.

Złamał padającą sosnę kilkoletnią... aż jękło.

Począł szamotać się i rzucać na ziemi — ściskało go coraz silniej, tchu ledwo już mógł dostać, aż osłabł...

Stękał i chrapał... ale już oswobodzić się nie pragnął... bo męczyło go bardzo, i ulgi nie przynosiło żadnej.

Różne uczucia przebiegały serce powalonego. Wpierw zdziwienia, potem strachu, a w końcu rezygnacja i żal w sercu ostał, żal bezbrzeżny za straconą swobodą.

Poczęło go mroczyć... tracił powoli jasność umysłu, a z nią i świadomość swego strasznego położenia i lęk przed czemś wrogiem, nieznanem...

Już nie odzyskał przytomności...

Nim zmrok otulił lasy, przez gąszcz poczęły przedzierać się dwie postacie. Jedna z chłopska ubrana, druga w płaszczu ciemnym i w kapeluszu, z miasta najwidoczniej.

Ostrożnie — cicho.

Szli prosto w miejsce, gdzie leżał Biały. Roz-

ciągnięty, zwalany błotem i mokry... Stroszyła się sierść na nim.

— Tu — mówił człowiek z miasta — zaraz być musi.

— A juści — przytaknął drugi. I zaraz prawie krzyknął: — Białego cosik... — białego!..

Ciszej — syknął ten z miasta — i szybko zbliżył się do leżącego kozła. Jest!

— Jakie śliczności, o Jezu! — załamywał ręce chłop — taki biały!

— Cicho siedź — szeptem mówił drugi. — Bedziesz krzyczał: leśnik na łeb nam się zwali, albo co... biały, czy nie biały, wszystko jedno, mięso jednakie, i płaca jednaka... Daj nóż.

Chłop wolno wyjął nóż z kieszeni i podał go nachylonemu nad kozłem.

Ten otworzył go prędko — błysnęła stal i zagłębiła się w szyi Białego. Podrzynał kozłowi gardło...

Krew purpurowa pięknego kochanka bluznęła na białą sierść. Kozioł zacharczał, wyciągnął się kilka razy — i znieruchomiał.

— A może święty? — szeptał z nabożeństwem chłop, pomagając drut z szyi ściągnąć nieżywemu.

Niedługo podzielony na części, znikł w plecakach i koszach.

Pozostały tylko na mokrej trawie krwi pąsowe plamy — i nowa pętla druciana, zastawiona tuż obok na pochybel sarniemu rodowi.

* * *

W lesie o Białym wkrótce zapomniano. Pozostałe kozły wróciły do dawnych praw. Nie zapomniała tylko Ruda, jak nieprzytomna chodząca po lesie.

Piszczała, zgłaszała się ciągle — żeby, jeśli gdzie jest w pobliżu — usłyszał i przyszedł wreszcie. Szukała, czekała daremnie.

Przytem śrut siedzący w mięsie, gdzieś koło biodra często dokuczliwie się dawał we znaki. Na rance małej siadały muchy i rozogniały ją i rozpalały — że bolała bardzo mocno. Ale mocniej i stokroć nieznośniej bolało serce za Białym stęsknione, w nieutulonej trwające męce.

Ruda marniała i chudła — nie żerowała prawie i nie piła, tylko biednym, smutnym wzrokiem biegała po raz setny w zarośla i gąszcze, czy gdzie nie ujrzy kochanka swego białego. Pocieszała się jeszcze iskrą nadziei.

Tymczasem jesień szła złocista — Ruda sukni kolor zmieniła i sierść płową teraz była...

Wreszcie i zima przyszła. Mróz brał tęgi, choć śniegu nie było jeszcze.

Pewnego dnia niezwykłe głosy las napełniały. Hałas był nieopisany i popłoch.

Wszystek zwierz drżał przed tem, co się stanie.

Ruda leżała w swej ostoi. Biedna, wychudzona, zmizerowana.

Ocknęły ją głosy coraz bliższe, silniejsze, natarczywsze.

Ujrzała pomykające spłoszone zające. Las wstrząsnął się od huku, który krótko potem zatargał powietrzem, częsty, przeraźliwy, nieznośny. Zerwała się na równe nogi...

Ujrzała idących ludzi, było ich wielu, krzyczeli, pukali, trzaskali.

Rzuciła się w przeciwną stronę, ostatki zbierając sił. Między drzewami sadziła, jak strzała, ocierała się o nie, lekko, zwinnie, prędko.

Już, już dobiega do pola... Wtem ukazuje się tuż przed nią człowiek, który wymachuje rękami. Ruda w lewo się rzuca, to w prawo — otaczają ją w około ludzie. Traci więc orjentację i przerażona z całym ogromnym impetem wpada na wielką sosnę.

Jęknęło! — Opadła złamana, bezwładna, z rozbitą głową.

Krzyknęli ludzie!

Co się stało? — wołano zdaleka.

Nic, nic — uspakajał gospodarz. — Un petit accident! Sarna się rozbiła. Taka mizerna zresztą, że nie wielka szkoda... Proszę panowie, ile kto ma?... Sarnę niech wezmą na wóz... Il y en a tant zresztą... Czy pan uwierzy — mówił jeden z myśliwych do drugiego — że tu, w tym samym miejscu właśnie chybiłem w sierpniu białego rogacza? Kazałem bacznie uważać leśnikom, — przerwał gospodarz — ale go nigdy nie widziano,..

— Mogę pana uroczyście zapewnić...

— Panowie! Proszę na powozy — przerwał gospodarz.

* * *

Dla Rudej skończyły się dni umęczenia. Spotkała rycerza białego, wytęsknionego, w zwierzęcym raju.

Wróciło szczęście...

Stanisław Bończa.